

Jerzy Ohnet.

Śmierć Bonapartemu!

13)

— Nigdy się wasi Jakobini nie uspokoją. Znowu głośno o ich spiskach. Polecili Ceracchi'emu i Arenie zgładzić mię ze świata. Przypominają się.

— Zapewniam, że generał źle poinformowany. To szajka Jerzego wywołuje rozruchy... Wiem do brzo o ich krokach. Zabili mi najlepszego agenta, bo był na ich tropie. Dziś odnajdę ich i nie puszcze już z ręki.

— A ja jeszcze raz powtarzam, że grożą mi terroryści... Oszczędzasz ich i bronis, jako dawnych przyjaciół, a może i z obawy przed nimi.

Fouqué nieznacznie się uśmiechał. Przymknął ponure oczy i odparł głucho:

— Generale, nie mam przyjaciół wśród ludzi, niepokój w państwie niecących. Lękam się tylko jednego, waszego niezadowolenia.

Bonaparte skinął pojednawczo głową i pożegnał ministra policyi. Nie brał jednakże w rachubę możliwych kaprysów siostry swej Karoliny i Hortensyi Beauharnais. Popołudniu obiegły go obydwie delikatnymi wymówkami z powodu odłożenia opery. Zwłaszcza Hortensya, sama bardzo muzykalna, przyszła z bardzo wydłużoną miną. A generał, w domowych stosunkach zawsze miękki, pociągnął za ucho milutką córkę żony, ze słowami:

— Cóż, bardzo ci przykro, że nie usłyszysz poważnego oratorium? Będzie to, zapewniam was, rzecz bardzo nudna.

— Jeżeli tak, generale, to wyjdiesz przed końcem, a ja z mamą i panią Murat zostaniemy same.

— No, no, jakoś to będzie! Dopiero wieczorem postanowię ostatecznie, co będzie.

— Nareszcie! W każdym razie nie odmawiaj kategorycznie!

O tej samej porze Saint Régeant wyczekiwał niecierpliwie pani Lerebourg. Noc strawił na poważnych rozmyślaniach. Wiedział, iż idzie na pewną śmierć. Cudem tylko mógł jej uniknąć. Tem cenniejszą zdała mu się przyrzeczona przez Emilię godzina miłości, iż wiedział, że to będzie jedyna i ostatnia. Serce mu omal nie wyskoczyło, tu brakło mu ze wzruszenia, skoro usłyszał szmer otwieranego tajemnego przejścia. W korytarzyku ukazał się cień, niosący w szumie jedwabi subtelny powiew perfum, a gdy się drzwi zamknęły, dwoje kochanków padło sobie w objęcia. Długą chwilę tulili się tak bez słowa, rozkoszowali się tem wzajemnem oddaniem, zbliżeniem drżących do głębi istot. Szybkim ruchem rzuciła Emilia kapelusz i rękawiczki, a otoczywszy ramiony szyję Saint Régeant'a, pociągnęła go w światło małego okna, by go lepiej widzieć; niebieskie oczy tonęły w młodzieńcu z radością i zarazem lękiem.

Nie chciał mówić z nią o swych obawach. Usta jej ujął gwałtownym uściskiem, rozzuchwalone ręce przyciskały giętkie kształty, które poddawały się pieszczocie, porwał i uniósł upojeniem rozdręganą. W miłości żał przyszedł, że tak długo odwiekali szczęście.

— Jak to nierozsądnie, najdroższa, że opierałaś mi się dotychczas. Czy sądziłaś, że na tem oboje poprzestaniemy, po wyznaniu sobie wzajemnej miłości.

— Nie powinnam była uledz. Stwarzam sobie po stokroć gorsze męczarnie. Wczoraj opłakiwałam cię, a dziś, jak myśleć o utracie takiego kochanka.

Uściskał ją znów i w ciemnym, szczupłym zakątku nic nie było słychać, prócz rytmu pocałunków. Czas mijał szybko, tem prędzej, im rozkoszniej. Zerwała się Emilia:

— Mój Boże! Muszę już odejść! Jak ciężko! A co nam jutro przyniesie?!

— Jestem tak szczęśliwy, iż nie tracę nadziei. Emilio, uniknę niebezpieczeństw, na jakie się narażam. Niebo chyba nie pragnie naszego rozłączenia.

— Moje troski byłyby, tak sądzę, znośniejsze, gdybym wiedziała nieco o twych zamiarach. Nie mógłbyś mi ich powierzyć?

— Ani w części! Żądasz niemożliwości! Zaklinam cię tylko na Boga, byś nie wydalala się dzisiejszego wieczora z domu, nim noc zapadnie!

— Noc zapada obecnie o piątej... Już się zbliża... Czy będą rozruchy w Paryżu? Czy grozi walka?

— Nie pytaj mię o nic! Zamknij się w twym pokoju. Nie wychodź, bez względu na to, co zaszłoby na ulicy.

— Czy w niczem nie mogę być ci użyteczną? Może zdołam odwrócić od ciebie niebezpieczeństwo?

— Nie myśl o tem.

— Pamiętaj w każdym razie, że u nas na górze są pokoje, nawet jeden zupełnie wolny, gdzie mógłbyś kryć się przynajmniej dzień jeden i niktby tego nie przypuszczał.

— Nigdy! Naraziłbym tem ciebie!

— A gdyby to było konieczne, gdyby cię osaczono?

— Zawsze jest jedno wyjście: śmierć.

— Nie mów tego, nie doprowadzaj mię do rozpaczy! Czem zasłużyłam na taką udrękę.

— Nie popełniłaś niczego, moja droga, ponad to, co ciąży na wszystkich ofiarach od dziesięciu lat wrącej walki stronnictw. W piękny nasz kraj wnieśli ludzie nikczemni zarodki zawiści, niezgody. Z tego posiewu wyrósł plon krwawy i trujący. Pół Francji szarpie od dnia wybuchu rewolucyi drugą połowę, ta broni się zjadale, lecz, niestety, ulega! Ludziom tym wydarto mienie, stanowisko, wiarę, króla, a mimo to, podnoszą się z prochu, z ran i konania, by uderzyć w zwycięzców, a przedewszystkiem tego osiągnąć, kto wcielił w znienawidzonej istocie tryumf bezprawia. Wszyscy, wszyscy jesteśmy ofiarami, my, klasa wydziedziczona, zdziesiątkowana, znieważona, gdybyśmy pogodzili się z poniżeniem. Lecz jeżeli się zbuntujemy, jeżeli po raz ostatni stanimy do walki, będziemy z ofiar, męczennikami. A idee, chwilowo zdławione, muszą tryumfować ostatecznie, jeżeli w ich obronie wystąpi zapał i poświęcenie męczenników. Nie dziw się przeto, że narażam życie, nie opłakuj mię, jeżeli je położę za sprawę. Lecz wspominaj z serca tego, kogo kochałaś. Cokolwiekbyś uczynił, cokolwiekbyś mi zarzucano, choćby najcięższą zbrodnię, szanuj pamięć mą mimo wszystko, bo możesz być pewna, że działałem jedynie w obronie naszego Boga i króla.

Słowa te wydały się Emilii ostatnią prośbą Saint Régeant'a, niejako testamentem, jęk był na nie odpowiedzią i te łzy obficie, co spływały po jej twarzy. Nie mogła pogodzić się z myślą o rozstaniu z tak pięknym, młodym, dumnym, tak ukochanym człowiekiem. Tulila go do siebie, przyciskała rękoma, jakby przeczuwała, gdzie go ugodzi cios nieunikniony. On perswadował jej łagodnie, usadowił na swych kolanach, jak dziecko, serdecznie całował, byle tylko uspokoić. Skoro na ustach jej wykwitł powrotny uśmiech, rzekł:

— Nie gotuj mi jeszcze, najdroższa, mowy pogrzebowej. Wierzę mocno, że wywinę się z przeprawy. Tysiąc przyczyn, jedna silniejsza od drugiej, trzyma mię przy życiu. Chcę popierwsze, oglądać skutki mego czynu, i korzystać z nich, ile się da. Mam nadto przy sobie piękną panią, która nie słyszała odemnie jeszcze wszystkiego, co jej mam powiedzieć. A jest tego moc, i to rzeczy nie słychanie interesujących. Liczę, że spędzimy jeszcze we dwoje wiele, wiele chwil bardzo pięknych. Nie będę tak nieopatrny, by się pozbawiać nadziei szczęścia.

— O, tak powinienes mówić do mnie. Uspokój mię. Daj nadzieję, że ujrzę cię jutro, tak, jak dzś cię do serca cisnę.

— Bez wątpienia. Przyjdiesz jutro o tej samej porze?

Oczy Emilii zabłyśły radością. Ufność wstąpiła w jej serce. Szeptał jej głos tajemny, a niezawodny, że Saint Régeant nie zginie, że ujrzy go jeszcze. Ręce oparła na jego ramionach, a przenikając wzrokiem do głębi, odezwała się:

— Najdroższy, twoją jestem. Nie o sobie myśl, lecz o mnie i pamiętaj, że jeśli zginiesz, i ja niezwłocznie podążę za tobą.

— Szalona! Ucałuj mię i odejdz!

Uściskał ją, Saint Régeant otworzył drzwi ścienne i wypuścił ją. Było to wpół do piątej. Oczekiwał chwilę, a gdy już był pewny, że jej nie ma, przeobraził się kompletnie, przybierając strój robotnika. Dolną część twarzy osłoniła ruda broda. Na głowę włożył czapkę z króliczej skóry. Pod ubranie ukrył pistolety i z całą ostrożnością przeszedł do kuchni modystki. Po chwili był już na ulicy i zdążył ku miejscu umówionego spotkania z Limoëlanem i Carbonem. Noc była ciemna. Szedł brzegiem, mostem Pont-Neuf przeszedł na drugi brzeg rzeki, upewnił się, że nikt go nie ściga i względnie spokojnie dotarł do Czerwonego Lwa. Zastał tam już Carbon'a i Limoëlan'a. Przed drzwiami zajazdu czekał wózek, zaprzężony w chudą siwą szkapę. W wózku leżał Carbon, głowę wsparłszy na zwoju pustych worów. Na brzegu chodnika siedział Limoëlan i palił spokojnie fajkę. Obaj zmienieni byli do niepoznaki. Ochrypiłym głosem zagadał ich Saint Régeant:

— He — Franek — wino jeszcze nie wrze? Co tu właściwie robisz? Czy czekasz, żeby beczki same weszły na wóz? Nuże! Czekają tam na ciebie!

Natychmiast zerwał się Limoëlan, trzepnął w nogę Carbona i zawołał nań:

— Nuże, śpiochu, pilnuj wozka. Ja idę do piwnicy po beczki.

Na te słowa od muru odezwał się jakiś cień, przeszedł na drugi róg ulicy i krążył dokoła wózka. Po olbrzymim wzroście Saint Régeant poznał Soufflard'a. Czelnie zaczął policyanta:

— Zdaje się, że będzie deszcz. Wino mi smakuje, a gospodarz powie, że dołatem doń wody.

Wybuchnął śmiechem i zerknął na agenta policyi, który wzruszył głową. Saint Régeant podszedł do Limoëlana ze słowami:

— Szpicle dokoła nas. Gdyby ten drab chciał przyjrzeć się zblizka naszej robocie, palę mu w łeb za pierwszym poruszeniem. Ale wtedy nie pozostałoby nam nic innego, jak uciekać co tchu.

— Mnie go zostaw. Trzeba spróbować odciągnąć go stąd. Jeżeli nie będzie już innej rady, wtedy dopiero trzeba go sprząnąć. Ale nie inaczej, jak wewnątrz, w zajeździe, bez niepotrzebnego rumoru. Zbyt dobrze przygotowany nasz plan, by go w ostatniej chwili zaniechać. Szkoda.

Zeszli do loszku, gdzie pomiędzy beczkami wina i wódki stała i baryłka z prochem. Saint Régeant miał sobie przez oberżystę powierzony klucz, on też piwnicę otworzył i zapalił stoczek. Rozejrzał się wśród beczek, rozpoznał swoją i popchnął ją ku schodom. Za nią potoczył ćwiartkę wina.

— Cóż ty robisz? — zapytał Limoëlan.

— Dowiesz się zaraz. Wyniesmy naprzód wino.

Nie bez znacznego wysiłku udało się mu wywinąć beczkę w górę, poczem wrócili po proch. Po wyjściu z piwnicy zaprzegli się każdy do swej beczki i wywlekli je aż na ulicę.

— Oto i likwor — zachrypiał Saint Régeant. Możeby z nim zawrzeć bliższą znajomość?

Mówiąc to, spojrzął na Carbona, który odpowiedział:

— Niezły pomysł. Poproszę gospodarza o kieliszek.

— Niech Bóg broni! Miałbyś się z pyszna! A od czego świder? Uraczymy się prosto z beczki.

— Niech i tak będzie! Hopp! dźwignijmy beczki na wóz.

Wraz z Limoëlanem podniósł beczkę z prochem. Carbon zwrócił się do Soufflard'a, mocno zaintrygowanego tą sceną:

— Ruszcie się, towarzyszu.

Olbrzym chwycił beczkę oburęcz, dźwignął z ziemi i ułożył na wozie, za beczką prochu.

— A co! — zaśmiał się szeroko.

— Teraz — wasze zdrowie, przyjacielu!

Przerznął nożem deskę od brzegu, przebił dziurę blisko obręczy i zatrzymując plyn palcem, zaprosił:

— Wam, obywatelu, należy się pierwszeństwo!

Soufflard nachylił się, w usta rzucił mu się prąd wina; wtedy, spokojny już co do zawartości beczki, myślał jedynie o zadowoleniu łakomstwa. Pociągnął dobrą szklankę, poczem ustąpił miejsca Carbonowi i Limoëlanowi. Saint Régeant nie pił wcale. Wszedł do oberży by zabrać kurak strzelby, którym miał sprowadzić wybuch prochu. Umocowana doń rura żelazna i nabój znikły w długiej kieszeni. Zamienił jeszcze kilka słów z gospodarzem, który ścisnął mu ręce. sam drżąc z lęku wysłuchiwał ostatnich zarządzeń zmierzających do zabezpieczenia towarzyszy, poczem Saint Régeant wyszedł na ulicę. Carbon i Limoëlan gawędzili przyjaźnie z dobrodusznym Soufflardem. Saint Régeant'owi przeszło przez myśl: Gdybym nie był przedwczoraj sprzątnął Neufmoulina, gdyby tu był tamtem zamiast głupkowatego dragala, byłoby już po nas trzech. Dzięki Bogu, Neufmoulin już nam nic zrobić nie może.

Uderzył Limoëlan'a w ramię i rzekł:

— Cóż, zatkaliście teczkę? Wszystko w porządku. Ruszajmy w drogę, ku Bastylli!

— Co, do Bastylli idziecie? — zapytał Soufflard.

— Do kupca mebli na przedmieście Antoniego, który lubi dobre wino, o czem mogliście się sami przekonać! Hejże! Dowidzenia, miły towarzyszu! Wio! wiata!

Uderzył chudzinę po zadzie i wózek, na który znowu wsiadł Carbon, powlókł się w kierunku Bastylli, a za wózkiem Saint Régeant i Limoëlan. Soufflard patrzył za nimi zgoła obojętnie i trwał dalej na posterunku śledczym przed Czerwonym Lwem. Za zakrętem ulicy Arbre-sec wózek, zamiast na lewo, skręcił na prawo, wprost do Palais-Royal. Ale tego agent już nie dostrzegł, dzięki ciemnej nocy i niedostatecznemu światłu latarni.

O tejże porze pierwszy konsul po całodzienniej pracy z Cambaceres przyjął architekta Viscontiego. W toku była sprawa wykończenia Tuileryi. Drażnił go widok gromady domów przy ulicach Rohau i L'Echelle, na przekór prawom ładu i porządku. Chciał mieć otwarty prospekt na klasztory